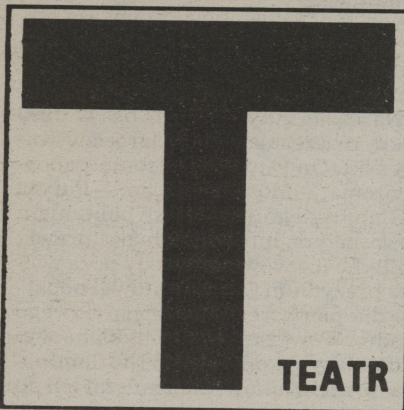




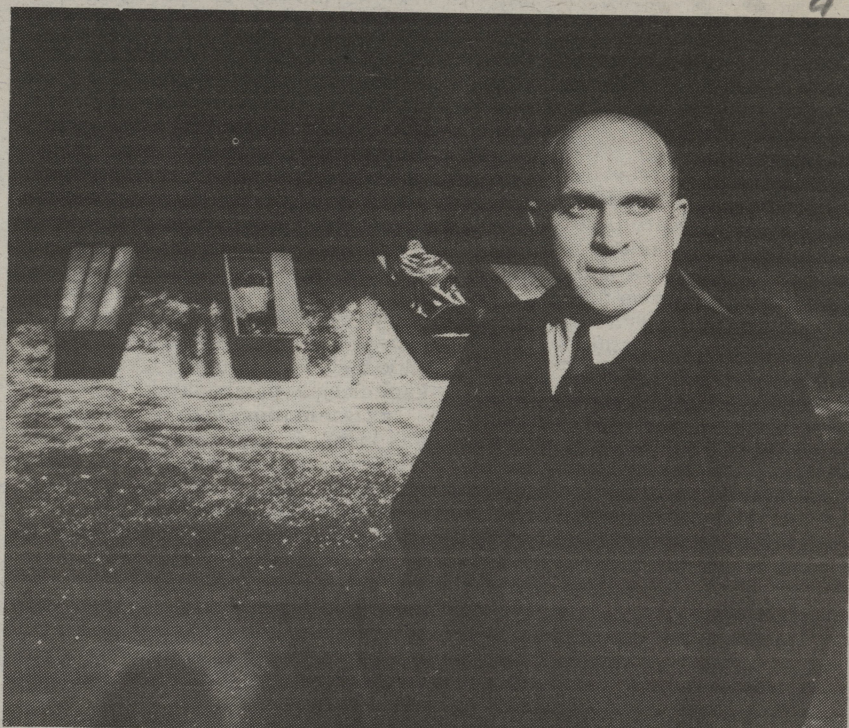
Antygoni Głowackiego w Ateneum

Serce Janusza

JACEK SIERADZKI

Antygoni w greckich Tebach zła- mała zakazy ziemskich władz i ska- zano ją na okrutną śmierć, gdy wie- dziona elementarnym instynktem moralnym sprawiła wyklętemu bratu ludzki pogrzeb. Antygonę w Nowym Jorku – Anitę, Portorykanę z Thomp- kins Square Park prowadzą podobne przecucia. Ale tym razem władze w osobie służbistego policjanta nie będą przesadnie gorliwie szukały sprawców zniknięcia pewnego ciała z trumien czekających na wywóz do bezimiennych grobów. Gorzej, że na- tchnionej Antygonie współbezdumni przewoźnicy przywożą przez pomył- kę nie tego trupa, a ona nawet okiem nie mrugnie. Tamten też był brodaty i w łachmanach. Podobno był dla niej ciepły i dobry, ile jednak w tym praw- dy, a ile imaginacji chorego umysłu – kto to może wiedzieć?

NIEBYWALE OKRUTNĄ SZTU- KĘ napisał tym razem Janusz Głowacki, najokrutniejszą chy- ba w całej swej twórczości. I najlep-



Henryk TALAR w sztuce Janusza Głowackiego „Antygoni w Nowym Jorku” w reżyserii Izabelli Cywińskiej
Fot. Zygmunt RYTKA

szą. Okrucieństwo tej Antygoni z an- typodów nie polega na umieszczeniu akcji w środowisku bezdomnych – tkwi ono w wizerunkach mieszkań- ców parkowych ławek. To nie wyrzu- tki społeczne z gazetowych uogólnień. Głowacki pokazuje inteligentnych i normalnych niegdyś ludzi, którzy mogliby w gruncie rzeczy być podobni do każdego z nas, a którym takie a nie inne koleje losu, życiowy pech, może i nieudacznictwo (a w konsekwencji parkowo-bezdomna egzystencja) przymiażdżyły jakby część człowie- czeństwa. Bohaterowie dramatu sta- nowią przedziwne konglomeraty zwierzęcych nieomal odruchów, ze zwykłymi, głęboko ludzkimi pragnie- niami; to ostre zderzenie nieprzystają- cych cech na tle tragigroteskowych warunków bezdomnego bytowania czyni teatralną opowieść fascynującą i przerażającą zarazem.

Pchełka, polski cwaniak, mitoman i epileptyk. Chciwy do obłędu, wcie- lenie nielojalności, egocentryk w sto- pniu patologicznym, błazen, nerwo- wą elokwencją zagadujący brak ja- kichkolwiek szans odmiany losu, bez- nadzieję. Piotr Fronczewski wpada w troche irytującą, katarynkową me- lodyjkę głosu, gdy jego bohater paja-

kuje: potrafi być jednak żałośliwie, chaplinowsko ludzki, gdy poważnieje lub gdy przerzuca się po kaskadersku z nieszczęścia w wygłup i z powro- tem. Sasza, rosyjski Żyd, malarz, uciekinier z Leningradu, milczący, psychicznie zatrzęsnięty. Janusz Mi- chałowski z precyzją i konsekwencją godną sfilmowania ku nauce mło- dych pokazuje, jak jego bohater taje, z wolna się otwiera, ożywia, odsłania, traci bariery ochronne, zaczyna bu- dować sobie zamki na lodzie. I prze- okrutnie przegrywa – gdy Anitę, chwilę po tym jak słabiutka, elemen- tarną iskierka uczucia przeskoczyła między nimi, inni parkowi brutalnie zgwałcą, a jego nie będzie stać na najmniejszy opór.

Piją pershinga – najtańsze wino, ich mowa pełna jest wulgaryzmów. Łat- wo się wzajem obrażają: Polak wtedy wpada w antysemickie i antyrosyjs- kie stereotypy. Głowacki pokazuje je – wstydlawie dotychczas na terenie „wysokiej” kultury skrywane – z bru- talnością, która zapewne zgorszy roz- maitych narodowych świętoszków. O co się tu jednak obrażać, gdy jest oczywiste, że te obelgi dyktuje roz- pacz, a obydwaj są na swoją przyjaź- nionienawieść skazani. I jeszcze są

w tej szczątkowej symbiozie wstrzą- sająco, rozpaczliwie samotni. Co naj- mocniej widać w scenie na przystani promowej, gdy Jerzy Juk-Kowarski na krótką chwilę otwiera głębię sce- ny. W upiornym fioletozoburym świetle nocnych latarni Pchełka i Sa- sza przeszukują trumny bezdomnych – w jednej z nich sami się położy- w czasie niekoniecznie odległym – a za nimi jest ciemność, słysząc falowanie zatoki i chłód nieomal fizy- czny dociera na widownię.

A potem pomyłkowo wyciągnięty trup siedzi między nimi na ławce, z go- dnością uczestniczy w pogrzebowym obrzędzie zwariowanej Antygoni – i chcąc nie chcąc śmiejemy się z tej makabreski. Bo okrucieństwo sztuki Głowackiego na tym także polega: jest ona bezlitośnie, nieodparcie śmieszna. I im więcej jest komizmu – słownego, sytuacyjnego – tym ostrzej wychodzą problemy serio: nieczułość, samotność, bezwysciowości, obrona rudymetów człowieczeństwa.

Do Izabelli Cywińskiej odpowia- dającej za całość przedsięwzięcia mo- żna wnieść niejake pretensje o pe- wien brak precyzji w żonglowaniu nastrojami, w przechodzeniu z jednej tonacji w drugą. Przez to w niektó- rych scenach wyraźnie siada napię- cie, innym zdarza się skręcać w kie- runku kabaretu (ciągnie tam chwila- mi zwłaszcza Fronczewskiego). Nie- zbyt wyrazista staje się także postać policjanta prowadzącego rodzaj dy- daktycznej konferansjerki, konwer- sującego z widzami. Henryk Talar udatnie przypomina nieśmiertelnego Theo Kojaka, trudno mu jednak zna- leźć w sobie tę sytą pewność siebie policyjnego urzędnika, kontrastującą z emocjami innych bohaterów. Chwi- lami też wdzierza się w akcje ton tro- che nazbyt sentymentalny. A senty- ment tu musi być szczególnie pilnie trzymany na wodzy, by zagrała od- powiednio mocno scena, w której Ma- ria Ciunelis cudownie rozświetla się jakimś niesamowitym błyskiem, gdy Sasza, przypadkowo czy nie, mówi o Anicie i o sobie w liczbie mnogiej. „My”, „nas” – to wystarcza. „Zoba- czyłem niespodziewanie serce Janusza” – czytamy u Jana Kotta; są to słowa niecodzienne i znamienne w krytycz- nym komentarzu.

Kott mówi zresztą więcej i mocniej. „Stary jestem, mało piszę, już niedługo mi także na wspólną mogę. Muszę się spieszyć z sądami. Za trzy najważniej- sze polskie sztuki ostatnich lat uważam

»Emigrantów« Mrożka, »Do piachu« Różewicza i »Antygonę z Thompkins Square Park« Głowackiego. Kropka!” Te słowa opublikowane w „Dialogu” obok sztuki cokolwiek, jak się zdaje, zaszkodziły odbiorowi premiery: tak zwana „cała Warszawa” zawsze się najeża, gdy ktoś jej usiłuje a priori wmawiać arcydzieło. Wszystkie „wy- darzenia” ostatnich lat, krojone na wielki sukces, kończyły się kpinkami na salonach, często zasadnymi, czasem – jak w tym przypadku – chyba jednak nie. Nachmurzonych min części kryty- cznej braci w kuluarach nie rozbroiła- by cała kompania saperów. Niech im.

Nie wpadając w spiżowy ton, który tylko Kottowi przystoi, trzeba prze- cież zauważyć, że dawno nie mieli- my sztuki tak pisarsko dojrzałej i tak oryginalnej – w swojej tonacji, w spo- sobie przedstawiania zdarzeń i po- staci. Tak bliskiej mentalnie naszym doświadczeniom – któż nie spotkał takiego Pchełki na swojej drodze – i tak uniwersalnej. Rozśmieszającej, okrutnej i wzruszającej. Myślę, że ta sztuka, jak żadna inna w naszej naj- nowszej literaturze, ma szansę na wędrówkę po scenach amerykańs- kich, a potem – taka jest zwykłe kolej rzeczy – zachodnioeuropejskich. Cze- go serdecznie życzę – Głowackiemu na chwałę, a malkontentom na złość!

Janusz Głowacki **ANTYAGONA W NOWYM JORKU**. Reżyseria: Izabel- la Cywińska, scenografia: Jerzy Juk-Kowarski, opracowanie muzycz- ne: Wojciech Borkowski. Prapremie- ra w Teatrze Ateneum w Warszawie 13 lutego 1993.

Dom Aukcyjny „AGRA”
Warszawa, ul. Miodowa 14
tel./fax 31-96-10

**MALARSTWO
BIŻUTERIĘ I RZEMIOSŁO
ARTYSTYCZNE**
do sprzedaży na aukcjach
lub w Galerii
(także kupujemy)

Na życzenie wycena u Wła-
ściciela oraz transport
Najbliższe aukcje: 4.IV. i 6.VI.
Hotel Sobieski, Warszawa

K-13